

Wychodzą we *Wtorek*,
Czwartek i *Sobotę*. We
Lwowie prenumerata ro-
czna 6 Złr. półr. 3 Złr.
kwartał. 1 Złr. 30 kr.
miesięcznie 40 kr. m. k.
W kraju z przesyłką po-
czątkową rocznie 8 Złr. —
półrocznie 4 Złr. — kwar-
talnie 2 Złr. m. k. Rycy-
mód kwartał. 1 Złr. 20 kr.

NO WINY

Ogłoszenia wszelkiego
rodzaju przyjmują się za
opłatą od wiersza pi-
smem petyt w przedzia-
le za jednorazowe umie-
szczenie po 3 kr. za na-
stęp. po 1 1/2 kr. i za do-
płatą 10 kr. stępl. za ka-
żdorazowe umieszczenie
Biuro ekspedycji w księ-
garni H. W. Kallenbacha.

KRÓL DZIADÓW.

(Ciąg dalszy).

IV.

Przedbalowe zachody.

Przeniesiemy się teraz do Łypkowiec, wsi jak już wiemy pana Piotra Glinieckiego, do którego pan Ignacy Wyżyński wyprawiał syna swego. Łypkowce leżą na tej samej cudnie pięknej dolinie, ku Karpatom ciągnącej się, nad tym to samym strumieniem-rzeczka, która dolinę prze-
rzyna. Położenie wsi jest śliczne; wygląda ona z pomię-
dzy sadow swoich i mnóstwo wierzb nad rzeką wzdłuż
wspólne pastwiska rozrzuconych jak ogród prawdziwy.
Wszystkie chaty choć obdarte, tu i ówdzie pochylone i
bielone rzadko kiedy, mają pewien urok sielski, który
zawdzięczają otaczającej je zieloności. Najbrzydszym w ca-
łej wsi jest sam dwór; postawiony bowiem na wyniesio-
nym nieco za wsią wygonie suchym i jałowym, otoczony
zewsząd budynkami dworskimi, po większej części lepio-
nemi, wygląda ze środka stajen, krowiarni, szopek i gu-
mien, smutno i nago. W całej dworskiej zagrodzie nieznac-
ne ręce troskliwej, któraby siedlisko dziedziczne całej rodziny
upiększyć chciała. Wszystko co tam stoi, postawione zda
się dla samej konieczności, dla ekonomickiego pożytku, a
nie dla pewnej symetrii, dla użycia myśli, duszy i serca.
Rzuciwszy okiem na dwór, mimowolnie przyjść musi na
myśl, że człowiek, który tam mieszka, musi mieć duszę
równie suchą i martwą, jak ta jego siedziba. Poznać za-
raz gospodarza tylko i nie więcej, i to gospodarza bez
wszelkiej wyższej myśli, który z dnia w dzień żyje, by z
dnia w dzień zbijać grosz do grosza, i tylko tyle z dnia
w dzień stawia nowych budynków lub starych naprawia,
ile ma ich potrzebę konieczną, w tych dni okazaną.
Choć jest za domem ogrodu gatunek, jest on po większej
części warzywny tylko, bo w okolicy, gdzie owoce są po-
nad burakowe i kapuściane grzedy, stały samotne, pokarlo-
waciale i pokrzywione drzewa owocowe, które troskliwej
ręki pozbawione, podziczały, i nie tylko brakiem owoców,
ale i brakiem zieloności odwdzięczały brak troskliwości.
Dwie tylko wielkie odwieczne grusze, które ogród oddzielały

od szop gospodarskich, ożywiały całość tego obejścia. Lecz
i one dla uzupełnienia obrazu, posmutniały przez wiek, z
niechęcią zda się naginały swe ogromne i zielone konary
na ogromną sadzawką i gnojówką, w której jedynie znać było
wielką staranność i niemałe upodobanie p. Glinieckiego.

Popatrzywszy na całość tego gospodarskiego obejścia,
można było już mieć najlepsze wyobrażenie o panu Piotrze.
Był to jeden z tych parweniuszów majątkowych, którzy
wychodzą bóg wie z kąd, dorabiają się majątku bóg wie
jak, i prawdziwe grzyby na niwie społeczeństwa wy-
rosłe i wybujałe, żyją w wiecznym błocie, które dla nich
jest tak koniecznym żywiołem, jak szeroki nieba przestwór
dla orłów, jak życie wygodniejsze i wykwinniejsze dla
wyższości społecznych, czy do nich z rodu czy z własnej
myśli wyżej szybującej należą. Podobna niedbałość o wszel-
ką strojność otaczającej człowieka skorupy, jest niezaprze-
czonem znamieniem tego rodzaju parweniuszów, których
nawet nie uszlachetnia ta niektórym dorobkowiecom wła-
ściwa ryzykowność, która choć do złota zastosowana, świad-
czy o pewnej energii. Piotr Gliniecki zebrał majątek swój
grosz po groszu, przez najbrudniejsze skąpstwo, odmawia-
jąc sobie kawałka chleba nawet. W żadnej chwili swego
gospodarskiego zawodu nie okazał on ducha przedsiębiorcze-
go; starym trybem gospodarki idąc, znosząc niedostatek i
głód kosztem podwładnych, których obdzierał, głodził i okpi-
wał, przyszedł do fortuny, której nawet użyć nie umiał.

Lecz wejdźmy do wnętrza tego dworu. Była to tak-
że lepianka, kalenicą bezpieczniejszą niby od ognia pokryta.
Jak z wierzchu te tylko dziury były zalepione, które się
niby już bez tego obejść nie mogły, tak i w środkowym
urządzeniu wszystko było ściśle wyrachowane, na czystą
potrzebę tylko. Pod jednym dachem było i mieszkanie pańskie
z trzech pokoiów po jednej stronie złożone, była i kuchnia,
piekarnia, i izba gospodarska na drugiej stronie, obie zaś
strony dzielił kurytarzyk ciemny, po którym smutnym i chro-
nym krokiem przechadzał się jedyny domu tego zbytek,
stary pies z głową i ogonem na dół zwieszonymi, z boka-
mi aż do przezroczystości prawie zapadłymi. Był to niby
stróż nocny, nie mający nic prócz stancji daremnej i pro-
tekcji bez pożywienia, który już nawet szczekać nie po-
trafił, jeno czasem w noc księżycową smutnym i chrapliwym
zawył głosem. Taką samą oszczędność sprzętów odży-
wała się w pomieszkaniu pańskim. W pierwszej izbie,

która była i bawialnią i jadalnią i kancelarią razem, prócz stoła na środku, kilku krzeseł drewnianych, szafki w rogu, służącej razem za biuro do pisania i skład aktów ekonomicznych, nie była tylko jedna jeszcze sofa dziurawa, stoliczek przed nią politerowany przed laty, ledwie trzymający się na trzech nogach swoich, i ogromny zegar ścienny, popstrzony od much, z kukulką, która już od lat niepamiętnych niekukała. Było wprawdzie i lustro, ale tylko do połowy szklane, bo drugą połowę kiedyś tam wytłuczono, zalepiono grubą bibułą, której szmaty przedarte sterzały zwieszane wu ziemi. Cóż powiedzieć o drugiej izbie, która była sypialnią pana Glinieckiego. Było tam nago i brudno, brudno i nago na tapczanie za łóżko służącym, nago i brudno na ścianach, których jedyną ozdobą były poprzipierane do nich kufry, niegdyś nazielono i lakierowane, i ławka prosta, drewniana, kilimkiem do połowy tylko zasłana, bo na drugiej połowie stały miska wyszczerbiona i garnek gliniany z wodą, ale bez ucha. I nie więcej; gdyby choć obrazek, jaki święty, bez którego najuboższa nie obejdzie się chata, świadcząca choć o jednym wyższym uczuciu. Pan Gliniecki niewiem czy raz w życiu pomyślał o bogu, który mu zupełnie nie był potrzebny, bo wiara u niego żadnej nie mogła mu przynieść intraty. W kącie jednym zato był skład ogromny motków i worków wercianych, a w drugim rodzaj szuflady wysłużonej, z mnóstwem żelaziwa, rzemyczków i sznurków. Nad łóżkiem wisiał wielki, cebulowaty zegarek srebrny, ze stalowym łańcuszkiem; i o dziwo?... spoczywał na podstawce dość świeżej, jedwabnej, pohaftowanej w floresy, tak podobne do bukietów jak pięść do nosa. Był to prezent, na wiązanie dany ojcu przez córki. Bo pan Piotr miał dwie córki; żona umarła już dawno, i umarła, możnaby powiedzieć bez obmowy, z głodu. Te dwie córki mieszkaly w ostatnim pokoju, w którym widać przecie było staranniejszą rękę kobiecą. Ale trudno było go bardzo ustroić przy skapstwie tatka, i nareszcie był to właściwie alkierzyk tak maleńki, że się w nim ledwie mieścili dwa wazkie łóżeczka. Ale te były przynajmniej schludnie zasłane, i z pomiędzy nich świeciło się lustro, i parę kubeczków szklanych, nad okienkiem były firaneczki białe, i w okienku stało parę wazoników z geranium i bazylikonem. Panny Glinieckie zwały się Frania i Marysia. Frania była brunetka, dosyć żywa i fertyczna, z noskiem zadartym; i oczkiem, za nadto ciekawem na jej latek siedmnaście. Marysia była blondynka z rysami regularnymi, ładnymi nawet, i oczkami fiołkowymi, które krasila szesnastoletnia skromność, a szpecił wyraz ciągłej, gapiowatej nieco ciekawości. Obie biedaczki strasznie mało miały wychowania, chociaż nie brakło im na dobrych chęciach i pewnych nawet przecuciach o czemś lepszym i piękniejszym nad kochanego tatka i jego dom... Było to w nich może przypomnieniem matki, pocziwego stworzenia, przeznaczonogo bóg wie dla

czego na męczeństwo. Pani Gliniecka była córką pocziwych rodziców, urodzoną w domku szlacheckim, polskim, to też za nadto może serdecznym. Gdy została sierotą, pokazało się, że były długie, pozaciągane po większej części na przyjmowanie braci szlachty. Aby długie zaspokoić, trzeba było wioszczyznę sprzedać, a co gorzej zaprzedać siebie samą w wieczną niewolę. Srogaż to była niewola dla dziecka szlacheckiego w domie pana Glinieckiego Biedaczka do lepszego przyzwyczajona życia, wiedla i wiedla, aż nareszcie umarła, wypłakawszy ostatnie łzy nad dwoma sierotkami, które pozostawić musiała.

Wracajmyż teraz do pierwszej izby, w której odbywa się właśnie głośna i żywa scena. Żywym krokiem chodzi po pokoju p. Gliniecki, w starym, połatanym, a mimo tego podartym surducie z jakiegoś odwiecznego dreliszka, i z krótką, drewnianą fajeczką w ustach. Fajeczki tej cały dzień z ust nie wypuszczał; był to jedyny zbytek jakiego sobie pozwalał; prawda, że był to zbytek bardzo mierny, bo palił prosty, żołnierski tytoń, o którym twierdził, że jest najlepszy. I nareszcie tę rozrzutność tem tłumaczył przed samym sobą, że palenie fajki zastępuje miejsce jedzenia. Pan Gliniecki, był to sobie niewielki człowiek chudy, żyłasty, ale nadzwyczaj czupurny; ruchami wszystkimi przypominał zawziętego ekonoma, przyzwyczajonego przez same już powołanie do wielkiej ruchliwości. Oczy miał piwne, na wierzchu osadzone, biegające w około z wyrazem niespokojnej i wszystko szpiegować żadnej ciekawości; na głowie zaś o niskiem i pomarszczonem czole miał włosy ciemne jeszcze, mimo lat pięćdziesięciu z okładem, krótko ucięte i sterczące a najeżone do góry jakby istna szczecina, takąż samą szczecinę miał na ustach w postaci wąsów, które już szpakowaciec zaczynały, i szczecinę na czternastodniowej brodzie; bo jak twierdził, golenie niszczy brzytwy czyli raczej jedną brzytwę, jaką miał od lat kilkunastu, i która długoletnim użytkiem zwężona, groziła lada chwila zupełnem zniknięciem. Dodajmy do tego rysy twarzy, zasuszonej jak u mumii, kościaste i ostrokatne, wieczną ogorzałością pokryte, a będiem mieli wierzytelny konterfekt p. Glinieckiego, właściciela Łypkowiec z dwoma przysiólkami i gotówką znaczną, którą zbierał do kufrów, w stare szmaty zawiniętą, bo się bał jej użyć na jakiekolwiek przedsięwzięcie.

Jak mówiliśmy tedy, pan Piotr biegał po izbie, okalając środkowy stół w biegu swoim, i rzeczywiście biegał, bo był ciągle goniony przez obie córki swoje, które z początku biegały za nim, aż nareszcie wzięły się na sposób i rozszedłszy się ze strony, zatrzymywały go to z jednej to z drugiej stołu połowy. Najodważniejsza, brunetka, najsilniej gonila i najwięcej go zaczęła...

— To nie może być inaczej! mówiła do niego głosem piskliwym i rezolutnym...

— A tak tatku, to nie może być inaczej! powtarza-

ła blondynka za nadto nieśmiała, by była czem innem jejno echem starszej siostry.

Za każdym ozwaniem się córek stary Gliniecki milczał uparczywie, jakby go ich słowa nie dochodziły. Tyle tylko było różnicy, że przy słowach starszej zawzięcie słuwał, co zresztą mogło być skutkiem krótkiej fajeczki. Przy słowach zaś młodszej, spoglądał na nią z pod oka z wyrazem który widocznie się rozczulał, chociaż był niby w nim rodzaj wyrzutu.

— I ty na mnie! zdawał się mówić ten wzrok jego.

Bo stary Gliniecki miał niezawodną słabość do Marysi, może właśnie dla tego, że ona swoją ciętą i kłódkową nieśmiałością wstrzymywała, nigdy nagabywać go nie śmiała. Niemal się ona za to nasłuchiwała od starszej siostry.

— O gdyby ja była na twoim miejscu, mówiła nieraz do niej, musiałby stary tak tańcować jak ja mu zagram.

— Ja się bez żółtego nie obejdę!... mówiła coraz piskliwiej Frania.

— A ja bez błękitnego!... powtarzała Marysia coraz potulniej, aż jej głos w płaczliwość prawie wpadał.

Dodajmy do opisu lepszego tej sceny, że obie panny Glinieckie były w najkompletniejszym negliżu, mającym na sobie wszakże oznaki pewnej niezwyklej staranności. Obie były w koszulkach, lekko tylko pokrytych chusteczkami, którym codzienne używanie odebrało właściwą barwę; ale za to miały na sobie cały zbiór spodniczek tak rzęsiście nakrochmalonych, że obie nie zbyt wielkim wzrostem obdarzone, wyglądały z nich jakby z balonów. Nie tylko po spodniczkach znać było jakąś nadzwyczajną staranność stroju, ale i na głowie, na których piętrzyły się warkocz, ponkładane w zygzaki, nie wielce świadczące o wiadomościach fryzjerskich, ale za to dowodzące że obie panny nie były bez genialnych konceptów w tej mierze. Bo prócz babilońskiego upiętrzenia i zagmatwania warkoczów, były jeszcze i inne upstrzenia w postaci loków jakichś, dobrze jajkiem ugumowanych, zakrętów włosowych i przepasek kolorowych i fontazjów pstrokatych. Na samych zaś wierzachach tych kapryśnych figlów unosiły się kokardy, których wielkość zdawała się naśladować amerykańskie czy australskie motyle. U Frani jako brunetki kokarda była żółta; u Marysi błękitna, więcej stosowna do jej jasnych włosów.

— Tatko chce by się ze mnie śmiali!... mówiła dalej brunetka zapyrzona. To będzie wstyd dla tatka.

— I ze mnie śmiać się będą!... zawodziła blondynka.

— Ja na to nigdy nie pozwolę... wolę zostać w domu!...

— Zostać! powtórzyła Marysia; ale to było nad jej siły, lzy jak groch potoczyły się jej po twarzy.

— Bez szalika na ball!... tegom nigdy nie słyszała!...

— Bez szalika! ach!...

— Musi być żółty jak moja kokarda...

— Błękitny jak moja!...

Stary wymykał się jak mógł to od jednej, to od drugiej, słuwał coraz częściej, okrywał się coraz mocniej śmierdzącą swego tytoniu mgłą, ale milczał uparcie.

— Pięknie będzie, jak my nie pojedziemy...

— Nie pojedziemy! ledwie powtórzyła młodsza, bo głos jej przerywały łkania.

— A przecie tam będzie młody graf Eugeniusz...

— Młody!...

— Tatko sam mówił!... że on byłby dla mnie...

— Dla mnie!...

— Głupiaś! z ciebie jeszcze młody mazgaj!...

— Ach! westchnęła tylko biedna blondynka, bo już jej tehu brakowało z wielkiego płaczu.

Stary nie jeszcze nie odpowiadał, ale nagle zmieniwszy kierunek, wbiegł do sypialni. Obie panny za nim. Prosto stanąwszy przed łóżkiem, wskazał im zegarek srebrny, który co do regularności swojej był wyrocznią całego domu.

— Już za późno!... za godzinę musimy jechać; a ja muszę jeszcze...

Tu z gestem powagi pełnym wskazał im stłuczoną miseczkę na ławce postawioną, w której bielaly się mydliny obok czerniącej się brzytwy.

— To wybieg!... posłaniec na koniu do Niżyniec!...

— Na koniu tatku!...

— Posłaniec na koniu! zawołał stary zdziwionym i zgorszonym głosem; posłaniec za szalikami!...

I splunął potężnie...

— Do Sruła Feigele!... on ma najmodniejsze towary.

— Feigele! westchnęła Marysia.

— Już za późno, odrzekł ojciec, wracając do dawnego wybiegu.

— A gdyby nie było późno?...

— No! to nie mówię...

Na to siostry nie już nie odpowiedziały, jeno pobiegły do okna, wychodzącego na dziedziniec. Po chwili milczenia klasnęły w dłonie i zwróciły się ku drzwiom wchodowym. Jakoż te wkrótce się otworzyły, i wszedł przez nie znany już nam Sruł Feigele, z ogromnym pakietem pod pachą.

— Kłaniam państwu! wyrzekł żydek uprzejmie, daleko niżeli w Wyżynach, bo wielkie miał poszanowanie dla gotówki Glinieckiego.

— A tyż co tu robisz! zapytał Gliniecki, rzucając na żyda przenikliwe spojrzenie. Tylko co o tobie mowa była...

— Jasnie pan wspominał o mnie!... i ja też jasnie pana...

— Ja nie wspominał!.. to moje córki!..

— Aj waj! cmoknął żydek. Jakie to śliczne; to to chłopcy w Niżynach szaleć będą, a pierwszy młody graf!..

— Jak myślisz?... odrzekł pan Piotr, i twarz jego pokryła się nowymi zmarszczkami uśmiechu niby...

— Co tu masz Sruklu? zagadła starsza panna, która aż tańczyła z niecierpliwości.

— Aha Sruklu co masz tu? powtórzyła młodsza.

I obie porwały za pakiet, ciągnąc go ku sobie...

— Ja tu przywiózł różne rarytne rzeczy, co się mogą zdać teraz na bał, do państwa Krajkowskiego. Byłem w sąsiedztwach i bardzo wiele sprzedałem, bo wszyscy chcą się stroić teraz...

— A masz ty szaliki! zawołały obie panny razem i mrugnęły na żyda...

— Aj waj! ja bym nie miał mieć szalików. Jak niema szalika, to nie panna!..

— A jakiego też masz koloru?..

— Mam żółty jak dukat, mam niebieski jak farbka.

— Tatku! przyrzekłeś!..

— Tatku! serce!..

Stary spojrział na córki wzrokiem podejrziwym, i strasznie zaczął czuba nacierać.

— Tfu!.. nie lubię tego!.. tfu!.. to jakieś intrygi...

— Bardzo ładne! przepyszne szaliki! echt neuer mod....

— Tatku!

— Kochany!

— Wszystkie panny od Krajkowskich pokupowały szaliki, aby się podobać grafowi Eugeniuszowi, który bardzo dba o modę szalików.

— Ale to musi być drogie!.. przemówił ojciec ostatnim argumentem widocznie zwyciężony.

— Achesmir! dla wielmożnego pana Srul o trzydzieści procentów taniej wszystko spuści.

— No tatku! już późno!

— Późno kochany tatko!..

— Ale ja nie mam gotówki!

— A na co Srulowi gotówki! Srul dla wielmożnego pana weźmie zboża albo wełnę.

Jednym słowem zmiękł do reszty pan Gliniecki, i chociaż przekonany o znowie żyda z córkami, kazał wydobyć zapowiedziane szaliki.

Żyd wydobył je z wielką uroczystością i wypuścił na wiatr jak dwie bandery.

— Pikies Małachowskies! powtarzał i cmokał do tego na całą gębę.

Panny oniemiały z radości i podziwienia, chociaż po prawdzie nie było ani czego się cieszyć, ani podziwiać. Szaliki były już przenoszone, z barwami wypłowielemi, w

gatunku lichym, jeden barwy brudno szafranowej, a drugi sinawobrudnej. Ale za to miały jedną wielką zaletę, były niepospolicie długie i szerokie, i rzesiste miały frendzle. I czyż można się dziwić uciesze biednych dziewcząt, które tak mało dotąd posiadały strojów. Nastąpiła tedy chwila milczenia, którą przerwał nagle wrzask głosów na raz mówiących. Bo i żyd krzychał chwalać swój towar pod niebiosą, i ojciec krzychał ganiać go by mu taniej wypadł, i panny krzychały na wyścigi z radości, podskakując i klaszcząc w ręce. Taki był hałas, że nikt z obecnych nie słyszał turkotu zajeżdżającego powozu. A najgorzej, bo nowoprzybyły, ktokolwiek by nim był, musiał by w tej chwili dom pana Glinieckiego wziąć za dom warjatów. Nowoprzybyłym był nasz pan Eugeniusz, który dogadzając życzeniu ojcowskiemu, jadąc do Niżyniec wstąpił do Łypkowiec. Dopiero gdy się drzwi otworzyły i młody nasz bohater wszedł na próg, postrzegli go wszyscy, z czego jak się każdy domyśli, większe jeszcze powstało zamieszanie.

Panny wrzasnęły przeraźliwie, przypomniawszy sobie swój negliż, i tak się zastraszyły, że niewiedząc co uczynić stanęły jak wryte.

— Ach! ach! krzychały ciągle.

I zarumieniły się nalezycie, na czem twarze ich zyskać tylko mogły, ale nie więcej od Eugeniusza, który się zmieszał powszechnem zamieszaniem. Stary Gliniecki zaś to się za niegoloną porywał brodę, to za stary szarpał surdut, a między jednym a drugim sypał młodemu gościowi najaniżeńsze ukłony, powtarzając ciągle:

— Pan graf Eugeniusz!... przepraszam... to zaszczyt dla mnie! ale brodę miałem właśnie golić!..

Najwięcej przytomności miał oczywiście Srul Feigele, który nie bez szyderstwa patrzył na tę scenę. On najlepiej z kłopotu wybawił zawstydzone panny, pokrywając zbyteczny ich negliż swojemi szalikami.

— To moje córki!... przepraszam za brodę!.. mówił gospodarz, coraz więcej rozradowany przybyciem tak zacnego i pożądanego gościa. Bo jak już to wiemy od pana Sruła, nie byłby on od tego, żeby córkę jedną wydać za grafa. Dziwny to jest, śmieszny ale zwykły i wszystkim prawie ludziom podobnego rodzaju wspólny narów! Jak się dorobią fortuny, zachciwa im się tytułowych zaszczytów, i nieraz zobaczyć to można, jak najskąpsi i najchciwsi nagle za okno prawie wyrzucają pieniądze i najniepodobniejsze wyprawiają rzeczy, rezykując nawet to własne tak ukochane mienie, byle się zarystokratyzować.

— Bardzo przepraszam zaraz się ogolę... To Frania i Marysia!.. no kłaniajcie się panu grafowi.

Te słowa rozczarowały zakłęcie przestraszone dziewczęta, które drapując się w szaliki swoje, zaczęły dygać jak najzawzięciej.

C. d. n.

NIEOSTROŻNY!

Odpowiedź

„Ostrożnie dziewczę! oczka nie igraszka,”

Spiewa poeta, ród ptaszy,

Niezważaj dziewczę na złotego ptaszka,

Bo on cię tylko tak straszy!

Nie wszystkie oczka - oczka fijołkowe,

Nie wszystkie łezka popłami —

Bo czarne oczka, to śmiać się gotowe,

Ostrożnie z temi oczkami!

I złotym ptaszkom nie ujdzie igraszka,

I na nich mamy sidelka,

A gdy się złapie złocistego ptaszka,

To mu się zwiąże skrzydelka! —

Bo też nie wszystkie oczka fijołkowe,

Nie wszystkie łezka popłami;

A czarne oczka wciąż śmiać się gotowe,

Ptaszku! ostrożnie z oczkami!

Właśnie słyszałam od mojej matczki,

Że jakiś ptaszek zza drzewa,

Śmiejąc się wleciał do złotej klateczki;

I dziś z klateczki nam śpiewa!

M...a.

Nijam - Nijamy.

czyli

ludzie z ogonami.

(Dokończenie).

D'Abbadie, znany podróżnik, przedłożył towarzystwu geograficznemu na posiedzeniu dnia 6. Stycznia 1852 odbytem, jako słyszał od księdza Abisyńskiego rozmaite o nich szczegóły. Wedle niego tedy ogon ma mieć 29 centymetrów długości, i trafia się tylko u mężczyzn.

Owoż takie mamy świadectwa o istnieniu ludzi z ogonami w śróbkowej Afryce (Sudan). Du Courret dodaje jeszcze, że Nijam - Nijamy żyją z polowania, rybolostwa,

roślinami, korzonkami i owocami. Są prócz tego do ludożerstwa skłonni, i żądy za surowem mięsem ludzkim nawet w niewoli pozbyć się nie mogą. Ze nareszcie niektórzy z nich modlą się do słońca, księżyca i gwiazd niektórych; inni znowu do węzów i do źródeł wielkiej rzeki, i palą przed nimi ofiary żywe.

Pan Castelnau podług rzeczonych wiadomości utworzył mapę ich kraju, wedle której kraj ten przez Nijam-Nijamów zamieszkały, znajduje na stronie Sudanu najdalej ku południu położonej pomiędzy Adamah i krajem Tangalezów.

Posłuchajmyż teraz co o tym samym przedmiocie pisze wspomniany już przez nas p. Hübsch.

„Było to w roku 1852” mówi on, gdy pierwszy raz ujrzałem murzynkę z ogonem. Zjawisko to zadziwiło mnie niepospolicie, a od jej pana, kupca niewolników, którego prosiłem o bliższe szczegóły, dowiedziałem się, że w środkowej Afryce mieszka całe plemię murzynów, mających takie ogony. Z przesadą właściwą wschodniej wyobraźni zapewniał mnie, że ten szczególny dodatek dochodzi często długości dwóch stóp i spiczasto się kończy. Murzynka była czarna jak heban. Włosy miała kręcone, zęby białe, a szczeka była wydana na wierzch. Cztery zęby przednie miała nadpilowane, a oczy krwią nabiegłe; jadła zaś mięso surowe. Suknie zenowały ją, a władze jej umysłowe były na tym samym stopniu na jakim stoi całe plemię murzynów. Mimo skromnej ceny, jaką żądał za nią właściciel, nie mógł jej sprzedać na żaden sposób, i to nie z przyczyny tego niezwykłego dodatku, ale dla tego głównie, że nadzwyczaj żadną była ludzkiego mięsa, i tej pożądlivosti nie kryła zupełnie. Całe to plemię żywi się mięsem więźniów, w czasie częstych z sąsiadami wojen zdobytych. Jak tylko umrze kto pomiędzy nimi, krewni nie chowają go, ale krają i pożerają. Dla tego też niema u nich żadnych grobowców, ani mogił. Nie wszyscy prowadzą życie koczownicze; wielu nawet pomiędzy nimi stawia sobie chaty z gałęzi. Robią oni sami broń i narzędzia rolnicze, sieją kukurudzę i żyto, i chowają bydło domowe. Język mają pierwotny, w którym odzywają się także słowa arabskie. Nie noszą żadnego ubrania, i oddają się bez warunkowo chuciom zmysłowym. Najmocniejszego obierają wodzem, który prowadzi ich na wojnę i rozdziela łupy. Niewiadomo czyli mają jaką wiarę religijną, lecz można o tem powątpiewać przez wzgląd na łatwość z jaką przyjmują każdą wiarę jakiej ich uczą. Nadzwyczaj trudną jest rzeczą odzwyczaić ich od właściwej im dzikości, mianowicie od ludożerstwa, i trafiały się już przykłady że niewolnicy z tego plemienia pożerali powierzone sobie dzieci swoich panów. Przeszłego roku widziałem mężczyznę z tego plemienia, który miał ogon półtora cala długi, włosom porosły. Zdawał się mieć około 35 lat, był do brze i silnie zbudowany, a czarny jak heban. U niego także zauważałem tę szczególność co do wydanej na ze-

natrz szczęki. Zęby przednie piłują im, aby zmniejszyć siłę żucia.

Nijam-Nijamy mają siłę herkulesową. Kupcy niewolników niechętnie ich kupują dla wielkiej trudności w ich ulaskawieniu, i dla tej samej przyczyny nie chętnie powierzają im straż domu.

Znam w Stambule dziesięcioletniego syna aptekarza, który urodził się z takim calowym prawie dodatkiem. Należy on do plemion kaukazskich. Jeden z przodków jego tę samą miał potworną szczególność. Uważana ona jest na wschodzie, jako dowód szczególnej siły zwierzęcej.

Turcy znają od dawna ten rodzaj ludzi, i nie mało się dziwią że Europa tak wysoko w wykształceniu naukowem stojąca, nie o nim nie wiedziała.

Porównyując wszystkie przytoczone tu świadectwa okazują się niektóre w nich sprzeczności, mianowicie co do wielkości ogonów, i co do ich istnienia u obojg płci. Świadectwo wszakże doktora Hübsch, który widział i kobietę i mężczyznę, jest w tej mierze stanowcze. A zresztą rozważając rozmaite sprawozdania, może by można wnioskować że różnicę ogonów robi różnica płci?...

Nie chcemy się tu wdawać w nadto śmiało twierdzenia i wnioski, mniemamy tylko że ten przedmiot zasługuje zewszecmiar naszczegółowe i niezmordowane badania. To pewna że trzeba by już być za nadto zawziętym skeptikiem, aby odrzucić zupełnie świadectwa tak wiarygodne. O to tylko idzie rzecz, aby stanowczo wiedzieć, ażali ten ogon Nijam-Nijamów jest istotnem przedłużeniem kości pacierzowej, czyli też stanem chorobliwym. Jeżeli pierwsze jest prawdą, mielibyśmy odkryte nowe ogniwo w wielkim łańcuchu tworów. Wnioskując po tem co się dowiadujemy o zewnętrznej budowie tych stworzeń, mianowicie o kształcie czaszki i szczęki, można by się domniemywać, że one tworzą przechód z małpy do człowieka, i to właśnie domniemywanie stanowi całą ważność tego pytania. Na każdy przypadek spodziewać się należy że poważna umiejętność, co tyle już trudnych rozwiązała zagadek, przez niezmordowaną swą staranność, wkrótce będzie w stanie i to ciekawe zjawisko stanowczo wyświecić.

Listy z Krakowa.

II.

Przeludnienie. Polacy za granicą. Poeci polscy w Paryżu. Co robią krakowscy literaci. Kalendarze. X. Zygmunt Goliań. Kalendarz Czecha. Łepkowski. Galeria Dąbskich. Muzeum archeologiczne w Wilnie. Oświetlenie gazem.

Nic prawdziwszego jak przysłowie doświadczeniem stwierdzone. Stare: *tempora mutantur et nos mutamur cum illis*,

najlepsze znajdzie w dzisiejszym moim liście zastosowanie. Przed miesiącem, w imieniu współmieszkańców naszego miasta, narzekałem że bezludno w Krakowie, że nikogo nie ma na ulicach. Czasy się zmieniły, i ja muszę zmienić swoje narzekanie na wprost przeciwne, że nam za ludno znowu. Jeszcze jedna prawda dałaby się zastosować, a mianowicie że nigdy ludziom nie dogodzi. Ależ kiedy trudno powiedzieć że to dogodnie, jeżeli mieszkania za żadną cenę dostać nie można, jeżeli mając dawne swoje, trzeba go podwójnie opłacać; przeciwie się temu nie ma rady, bo pan właściciel wie, że znajdzie łatwo takich, co się o żadną cenę nie będą targować, lecz chętnie jaką bądź stancijkę drogo przepłacą. Od niepamiętnych czasów mieszkania nie stały tak wysoko jak dzisiaj. Miasto, przedmieścia, hotele, od strychu do dołu, wiele sklepów nawet pozajmowanych, przeludnionych. W jednym pokoju mieści się nieraz rodzina cała z wszystkimi meblami i immoiliami, siedząc jak w magazynie mebli lub składzie towarów, jedno na drugim.

Mnóstwo przyjezdnych, wracających z wód, zagranicy, wystawy, pomnaża tę liczbę. Dla właścicieli domów, dla ludzi handlujących, rzecz to arcydogodna; ale dla lokatorów, kupujących (których zawsze większa liczba,) arcysmutna. Nietylko bowiem mieszkania, ale i wszystkie artykuły codziennego i niecodziennego życia do wysokich postąpiły cen, a czasem niejednego całkiem dostać niepodobna.

Nigdzie jednak większego nie bywa nacisku, jak przy zakupywaniu miejsc na poczcie do Galicyi. Urząd pocztowy cały zawsze w obłężeniu. Oznaczona liczba, którą dyżanse zabierają, sprawia, że miejsca zamawiają na dwa tygodnie naprzód a czasem i pierwej.

Trudność ta komunikacji między nawet blisko położonemi punktami usunie przecież nowa kolej żelazna.

Jak nam wiadomo, pierwszą próbę robiono 15go października i ta powiodło się bardzo dobrze. Co drugi dzień, a czasem co dzień, w miarę potrzeby, idzie pociąg z materiałami budowlanymi, słupami telegrafów, z robotnikami wreszcie. Pomimo zakazu, mnóstwo osób napiera się jechać. Wszyscy urzędnicy, inżynierowie i każdy kto tylko ma jaki stosunek z koleją żelazną, w biurach, w mieszkaniach, na ulicy, bywają nachodzeni codziennie od znajomych i nieznajomych, z prośbą aby im w drodze łaski wstęp ułatwili, możność jechania wyjednali.

Dla publicznego zatem użytku nieotworzono dotąd regularnych pociągów; nastąpi to dopiero skoro wszystkie roboty już wykonane będą, jazda na całej linii od Krakowa do Dembicy dobrze wypróbowana, mniej więcej koło Nowego roku, wcześniej jest niepodobnem. Wiele jest jeszcze do naprawy; przekonano się bowiem właśnie w dniach ostatnich, że na przestrzeni do Bochni, w kilku

miejscach szyny tak słabo osadzono, iż o mało nawet wypadku nie było.

Dużo korzyści wróży sobie nasz Kraków z tego połączenia go z prowincją, obok której leżąc, był przecie bardziej oddalony niż od obcego Wiednia lub Berlina.

Stara kolej przywozi nam codziennie powracających z wystawy, z zagranicy. Od wielu lat niepamiętają ludzie tak liczego zbioru polaków u obcych jak w tym roku. Ostenda miała być tak przepelniona polakami, że się na chwilę polskiem miastem wydawała. Niemówiąc już o Paryżu, po wszystkich wodach czeskich, bawarskich, w Londynie nawet mnóstwo było polaków.

Mówiąc o zagranicy, przytoczę wam ustęp z listu kogoś z moich znajomych, kreślący wrażenie jakie na nim niektórzy polscy poeci w Paryżu bawiący wywarli:

«Falsz najkompletniejszy i oszczerstwo, kto widziawszy się z ojcem naszej nowej epoki poetycznej, posądza go o jakieś Towianizmy, mistycyzmy! Falsz kto go śmie malować jako człowieka złamanego burzą życia, przygniecione go boleścią steranych sił. Jestto człowiek pełen życia, pełen siły, pełen energii młodzieńczej, pełen poczucia wyższości ducha swego, lecz nie przygniatający dumą swą, ale podnoszący rozumem i miłością ku sobie. Nie dający się unosić szalowi wyobraźni i zapалу, ale rozbierający rzecz każdą nie jak poeta, ale jak człowiek praktyczny i tylko czasem, gdy kto zdoła wyrzec słowo wpadnie w samo centrum jego myśli i uczuć... wtedy żywe jego oko naczepnie dziwnego ognia i dumy jakiejś w spojrzeniu, która łagodnej a myślącej jego twarzy, nadaje wyraz dawnego Wajdeloty z siwym włosem. Zresztą gdy go kto ujrzy np. w kawiarni przy demitasse kawy i cygarze, to wydaje się Mićkiewicz prędzej wszystkiem innem niż poetą, najprędzej zaś professorem francuskim lub sekretarzem przy biurze jakiegoś ministra. Czy pisze? o tem później...

«*Goszczyński* z naszych poetów najgłębiej zatonał w Towianizmie; ale niewyobrażaj go sobie jako mistyka, marzyciela, fanatyka religijnego. Jestto człowiek jędrnej myśli, jędrnego a twardego sposobu wyrażania się i obejścia; przytem prostych, prawych obyczajów, niby jaki rotmistrz szwadronu.

«*Lenartowicz* wreszcie, smętny i bolejący, w bezmownej pograżony tęsknocie za krajem, która mu zdrowie niszczy. W tych dniach wyjechał do Włoch. *)

«A o grobie uwielbianego przezemnie *Juliusza* cóż ci wspomnę? Byłem tam nad wszelki wyraz wzruszonym. Ani kwiatka na jego mogile, ani mchu na nagim kamieniu! Sic transit gloria mundi! ale nie, myślę się, bo gro-

bowiec wielkich ludzi, nie w zimnej ziemi, ale w sercach braci!..

Nieupoważniony, naruszam może zaufanie w którym mi to kreślono; czuję się jednak usprawiedliwionym chęcią dorzucenia listka jednego, w obronie przeciw zarzutom, które robią naszemu Adamowi, zwąc go podporą szarlatanizmu, propagatorem Towianizmu.

Zawadziwszy o literatów i literaturę, szczerze bym się cieszył, gdybym mógł wam coś donieść o nowych pracach pisarzy gniazda mojego. Ale na nieszczęście, ci tak zamilkli jakoś, że znaku życia prawie o sobie nie dają.

Wincenty Pol utraciwszy w tych czasach żonę, przyciśniony smutkiem, zajęty codziennymi kłopotami, nieprędko zdaje się, weźmie pióro wieszczce do ręki, nieprędko takim Mohortem rozmiłuje, rozmarzy czytelników ziomków. A choć podobno w tece jego są ukończone rzeczy, nie wiele nadziei abyśmy się niemi niebawem cieszyli.

Łucjan Siemiński powróciwszy z Salcburn, gdzie dla zdrowia lato przepędził, zajmie się zapewne dalszym ciągiem swego przeglądu literatury, którego pierwszy tom takie zajęcie rozbudził, a dalsze niecierpliwie są wyglądane.

Grabowski, Muczkowski, także przycichli; ani wątpię jednak można, że szanowni ci zbieracze pracują w zaciszu, przygotowują coś nowego dla rodaków i kraju. *Listy Kremera*, u Zawadzkiego w Wilnie w dalszym ciągu się drukujące, jeszcze się nie pojawiły; pomimo że i na nich z upragnieniem czekają wszyscy, którzy pierwszy tom przed kilku laty czytali. Mają podobno być przed Bożem narodziem ukończone.

C. d. n.

Rozmaitość.

* Dyrekcja zakładu muzycznego we Lwowie przedłożyła na ogólnem zgromadzeniu sprawozdanie, z którego dowiadujemy się urzędownie niejako o złym stanie zakładu, o jakim dotąd słyszeliśmy tylko pobieżnie. Ograniczamy się dzisiaj na wylczeniu cyfer tylko, zostawując do późniejszego numeru, rozbiór całego sprawozdania, jako też zdanie nasze o przyczynach złego powodzenia zakładu i o środkach zaradczych.

Zakład rzeczony miał z dniem 1. Stycznia roku 1854 członków płacących 101; czynnych 169, i jednego honorowego. Z powodu śmierci, wydalenia się ze Lwowa, i wystąpienia, liczba ta spadła na 83 członków płacących, a 104 czynnych. Nauczycieli miał zakład 4 do męskiego śpiewu, i do rozmaitych instrumentów, a jedną nauczycielkę do śpiewu kobiecego. Co do uczniów, w oddziale nauki dla panienek było 29; w oddziale śpiewu męskiego 28; w oddziale muzyki na skrzypcach 26; do wiolonczeli 8; do dętych nareszcie instrumentów 8.

Co do funduszów, podstawą całego budżetu był najłaskawszy dar Najjaśniejszego pana 2000 złr. Do tego przybyły dary pojedynczych członków w ilości 495 złr. 17 kr. Dochody składały się z zwykłych wkładek przez członków robionych, wynoszących 884 złr. 50 kr., z opłat szkolnych wpłynęło 746 złr. z koncertów dawanych 423 złr. 50 $\frac{1}{2}$ kr., z odsetek i innych drobnych dochodów

*) List z dnia 6. Października.

64 złr. 36 kr. Co wszystko razem wynosiło 4714 złr. 13 $\frac{3}{4}$, z dodatkiem darowanej obligacji 100 ryńskiej. Rozchód zaś był następujący: Na wydatki zarządu i nabycie potrzebnych instrumentów 2325 złr. 57 $\frac{1}{2}$ kr.; na wydatki koncertowe 536 złr. 5 kr. na wydatki nareszcie szkolne 1784 złr. 24 kr. Z końcem więc sierpnia roku 1855 zostało w kasie 63 złr. 32 $\frac{1}{2}$ kr.; obligacja wyżej wspomniana 100 złr. i należność nieodebrana 4 złr. 13 $\frac{3}{4}$ kr. Ale natomiast należy się do księgarń 60 złr. i za czwarty kwartał pomieszkowania 75 złr. Cyfry te same za siebie przemawiają i najlepiej wyświecają smutne położenie zakładu.

* W Piątek dnia 23go Listopada dany będzie na dochód p. Smochowskiego dramat w 5ciu aktach z francuskiego pp. Bourgeois Denery przez Bogumiła Dawisona tłumaczony, pod nazwiskiem: „Żona marynarza z Saint Tropez.”

Przyjechali od dnia 17. do 20. Listopada do Lwowa.

PP. Radecki Eug., z Lipska. Bogdanowicz Robert, z Ostrowca. Dąbrowski Wincenty, z Sołotwiny. Orłowski Fel., z Zagrabeli. Janiszewski Jul., z Woleniowa. Nowosielski Lud., z Zbory. Laskowski Maxymil., z Lipnik. Mniszek Ant., z Stubienka. Kriegshaber Antoni, z Przemyśla. Bystrzanowski Leop. z Makoniowa. Niesiołowski Stan. z Ropienki. Krajewski Mich., z Terki.

PP. Makomaski Ant., z Lublina. Łokaszewski Stan., z Sokala. Mierzyński Raf., z Baryłowa. Wiśniowski Józ., z Horyńca. Kaczkowski Spiridion, z Tarnowa. Hr. Borkowski Stanisł., z Brodów. Molski Fel., z Wisłobok. Małachowski Lud., z Rokitna. Wiśniewski Franc., z Koziny. Czajkowski Hipolit, z Sarnek. Rozwadowski Józ., z Jagielnicy. Malczewski Jul., z Skwarzawy. Hr. Baworowski Włod., z Strussowa. Hr. Dzieduszycki Alex., z Lachowic. Łopuszański Bolesł., z Czyżek. Bielski Sianisł., z Rychcie.

PP. Sahajdakowski Józ., z Nowosiółki. Zakrzewski Jan, z Korcezna. Hr. Mier Hen., z Buska. Racyński Alex., z Załuża. Kozaryn Ign., z Ulicka. Malczewski Stanisł., z Stryja. Leszczyński Jan, z Łuczana. Rudnicki Alex., z Bóbrki. Gottlieb Kwirin, z Dołhomocisk. Napadiewicz Rob., z Więckowic. Schubert Ant., z Sambora. Balko Jan, z Sambora. Dąbski Gust., z Wadowic. Sękowski Józ., z Wydrny. Wartarasiewicz Ign., z Szulhanówki.

PP. Bystrzanowski Leop., z Makuniowa. Gumowski Hier., z Przemyśla. Bieliński Jan, z Obiedyniec. Gurkowski Kajet., z Nowego miasta. Deyma Franc., z Stanisławowa. Torosiewicz Kajetan, z Hołowczyc.

Wyjechali od dnia 17. do 20. Listopada ze Lwowa.

PP. Łodyński Piotr, do Przemyśla. Wajdowski Max., do Rodecyk. Strzelecki Jan, do Firlejowa. Poten Fryd., do Lachodowa. Młocki Włod., do Łopatyna. Jaworski Józ. do Kobyliniec. Obertyński Hen., do Brodów. Hr. Komorowski Adam, do Brodów. Strzelecki Piotr, do Sambora. Hr. Fredro Edw. do Basic. Brunicki Bro. do Gajów. Krasnopolski Karol, do Podhajec.

PP. Batowski Alex., do Lubienia. Molski Fel., do Wisłobok. Nowosielski Lud., do Zbory. Stopczyński Franc., do Romanówki. Lange Marcel, do Byszek. Kriegshaber Ant., do Tarnopola. Rozwadowski Franc., do Czerniowiec. Hr. Karnicki Feliks, do Roguzna. Bystrzanowski Leop., do Makuniowa. Borowski Leon do Krowska. Onyszkiewicz Fortunat do Złoczowa. Dobrzyński do Złoczowa. Wszelaczynski do Rzeszowa. Skrzyszowski do Bełzca.

PP. Hr. Karnicki Kaj., do Żółkwi. Obertyński Stanisł., do Żółkwi. Hr. Karnicki Teod., do Matasowic. Kozłowski Mich., do Brzeżan. Dombrowski Józ., do Dunajowa. Jacz Jan, do Krakowa. Olszewski Józ., do Krakowa.

Kurs telegrafowany z Wiednia 19. b. m. o g. 2. popołud.

| | | | |
|---------------------------|-------------------|-------------------------|--------------------|
| Augsburg za 100 złr. | 112 $\frac{1}{2}$ | Pożyczka 5% | 74 $\frac{1}{2}$ |
| Hamburg za 100 tal. banco | 81 $\frac{1}{2}$ | Akcyje banku | 936 |
| Londyn za 1 funt szterl. | 10.59 | Kolej północna | 2030 |
| Medyolan za 300 lirów | 111 $\frac{1}{2}$ | Obl. ind. | 69 |
| Paryż za 300 franków | 130 $\frac{3}{4}$ | Nowa pożyczka z loteryą | 97 $\frac{5}{16}$ |
| Agio duk. ces. | 18 | Pożyczka narodowa | 77 $\frac{15}{16}$ |

| Wczorajszy | Kurs Lwowski | Gotówka | towarem. |
|--|---------------|---------------|----------|
| Dukat holenderski | złr. 5 kr. 12 | złr. 5 kr. 15 | |
| Dukat cesarski | 5 | 17 | 5 |
| Półimperyal zł. rosyjski | 9 | — | 9 |
| Rubel srebrny rosyjski | 1 | 42 | 1 |
| Talar pruski | 1 | 40 | 1 |
| Polski kurant i pięciozłotówka | 1 | 13 | 1 |
| Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu | 89 | 20 | 90 |
| Galicyjskie obligacje indemnizacyjne bez kuponu | 68 | 10 | 69 |
| 5 proc. pożyczka narodowa | 77 | 50 | 78 |

Mandatarjusz i sędzia

policyjny, mający przytem kilkunastoletnią praktykę sądową, szuka posady do zawiadywania interesów skarbowych.

Bliższą wiadomość udziela z grzeczności zawiadowca zajazdu podolskiego we Lwowie, lub też starający się sam na frankowane listy pod adresem **A. T. post. rest.** Bóbrka w obw. Brzeżańskim.

(213 2—3)

Na dniu 27. 6. m. będzie

sprzedana w Żurawnie w obwodzie Stryjskim część stadtiny z wolnej ręki. — O czem się zawiadamia niniejszem chęć kupienia mających.

(220 1—3)

DONIESIENIE

względem wytłoczenia wzorów do haftowania.

Handel towarów bławatnych i lnianych G. Sopucha „pod piękną polką” we Lwowie przy ulicy halickiej pod liczbą 242 poleca swój dobrze zaopatrzony skład wszelkiego rodzaju płócien, stołowej bielizny, dymki, chustek jako też wszelkie gładkie wzorowane i haftowane towary białe.

Donosi oraz, że najnowsze wzory do haftowania na jakiegokolwiek materji tamże się odtłaczają.

(203 4—10)

Dr. Pattison's englische Gichtwatte

ist ein vorzügliches Heilmittel gegen alle gichtischen Leiden, seien sie am Arm, Hals, Rücken, Fuss oder an den Händen, sowie gegen Zahnschmerzen.

Dieselbe kann bezogen werden von dem **Hauptdepot für Deutschland, Frankreich und die Schweiz** bei Herrn **E. Ringk in Schaffhausen.**

Ganze Paquete à 1 fl.

Halbe „ à 30 kr.

In **Lemberg** ist dieselbe vorrätig bei **W. Willmann.**

(191 7—16)